

# URWISY NA EVEREŚCIE

## PIERWSZE WEJŚCIE NA NAJWYŻSZĄ GÓRĘ ŚWIATA BEZ SZTUCZNEGO TLENU

**D**wudziestego pierwszego kwietnia 1978 roku wspiąłem się z Reinholdem Messnerem z bazy do obozu I. W kolejnych dniach chcieliśmy pierwszy raz zaatakować szczyt Mount Everestu (8850 m n.p.m.). Po trwających tygodniami pracach asekuracyjnych na lodowcu Khumbu i w ścianie Lhotse czuliśmy, że jesteśmy w wyśmienitej formie. Dzięki wielokrotnemu wspinaniu się do obozów pośrednich mogliśmy się odpowiednio zaaklimatyzować; aż do bazy wysuniętej, położonej na wysokości 6400 metrów maszerowaliśmy dziarsko, jakbyśmy byli gdzieś w naszych ojczystych górach. Równie dobre były nasze nastroje. Cel był jasny: jako pierwsi ludzie chcieliśmy spróbować osiągnąć najwyższy punkt ziemi bez wykorzystania sztucznego tlenu – zamiar ten wielu lekarzy uważało za niedorzeczność i skazywało nas na porażkę. Również w kręgach alpinistycznych dawano nam niewielkie szanse na jego realizację.

Reinhold i ja, jak wiele razy podkreślaliśmy, chcieliśmy jedynie spróbować. Wiedzieliśmy, że już w latach dwudziestych Anglicy osiągnęli bez odrobiny dodatkowego tlenu wysokość ponad 8500 metrów, do tego z absolutnie niewystarczającym ekwipunkiem. Wiadomo było też, że od pierwszego wejścia na Mount Everest przeprowadzonego w 1953 roku przez Edmunda Hillary'ego i Tenzinga Norgaya nie powiodła się żadna poważna próba osiągnięcia szczytu bez tlenu. Wciąż mówiło się o tym, że jest to niemożliwe, że przy zawartości tlenu w powietrzu niemal trzy razy mniejszej niż na poziomie morza

musi dojść do ciężkich uszkodzeń organizmu, zwłaszcza mózgu. Jednak podczas niektórych wypraw wspinacze nie korzystali z tlenu bez przerwy, czasami używali go tylko w czasie snu lub brali prysznicze tlenowe (w pierwszym wypadku Michl Dacher na Lhotse, w drugim Chińczycy na Evereście w 1975 roku). Przy okazji tych ekspedycji z niezrozumiałych przyczyn była nieraz mowa o „beztlenowych” wejściach. Jednak te wyprawy należy zaliczyć do tradycyjnych. Wejście można uznać za beztlenowe dopiero wtedy, gdy od początku do końca wyprawy nie stosuje się ani trochę dodatkowego tlenu, w żadnej postaci.

Reinhold i ja przyłączyliśmy się do wyprawy Austriackiego Towarzystwa Alpejskiego, którą kierował Wolfgang Nairz. Zespół składał się z doświadczonych wspinaczy; za opiekę medyczną odpowiadali Raimund Margreiter z Innsbrucku i Oswald Oelz z Zurychu. Pracując wspólnie, zabezpieczyliśmy budzący grozę lodospad Khumbu i rozstawiliśmy obozy pośrednie; w ścianie Lhotse zakotwiczyliśmy poręczówki. Pierwszemu szturmowi na szczyt nic nie stało już na przeszkodzie.

W sobotę 22 kwietnia Reinhold i ja osiągnęliśmy obóz II, czyli naszą bazę wysuniętą na wysokości 6400 metrów, a następnego dnia obóz III w ścianie Lhotse na wysokości 7200 metrów. Rankiem 24 kwietnia, po tym, jak zaszkodziły mi zamrożone sardynki z puszki, zdecydowałem, że zejść z powrotem do obozu II. Reinhold chciał wraz z dwoma Sierpami przebić się do Przełęczy Południowej i założyć obóz IV. Po południu pogorszyła się pogoda. O godzinie 18.00 szalała już solidna zamieć śnieżna, a burza przerodziła się w nawałnicę. Namiot na Przełęczy Południowej, w którym przebywał Reinhold z Sierpami, został rozszarpany. Kolejnego dnia wiatr niezmiennie wiał z taką siłą, że Reinholdowi z trudem udało się postawić namiot rezerwowego. Po następnej nocy, drugiej z rzędu bez tlenu, cała trójca udało się zejść do obozu II (dopiero 26 kwietnia). Wyczerpany i utrudzony Reinhold dotarł do bazy 27 kwietnia.

Tymczasem Wolfgang Nairz, Robert Schauer i Horst Bergmann w towarzystwie sirdara<sup>1</sup> Anga Phu rozpoczęli wspinaczkę. Pogoda była wspaniała, chcieli szturmować szczyt. Pierwszego maja przebrnęli przez głęboki do pasa śnieg z Przełęczy Południowej na wysokość 8500 metrów, gdzie założyli obóz V. Od wysokości 7200 metrów korzystali z masek tlenowych. Pogoda była niezmiennie dobra. Po pięciogodzinnnej wspinaczce, wczesnym popołudniem 3 maja, zespół osiągnął szczyt Mount Everestu. Był to imponujący sukces, który dodał skrzydeł również nam, czekającym w dolinie.

Tego samego dnia, kiedy wracający ze szczytu zespół – zmęczony, ale w dobrej kondycji – dotarł do obozu II, nocowaliśmy w nim również Reinhold i ja. Wyglądało na to, że pogoda się utrzyma. Następnego dnia, chroniąc się przed przeraźliwym upałem – słupek rtęci pokazywał czasem ponad 40 stopni – przeszliśmy przez ścianę Lhotse, spędziliśmy zimną, ale dobrą noc w obozie III, a po męczącym torowaniu drogi dotarliśmy koło południa 7 maja na Przełęcz Południową, na wysokość około 7900 metrów. Towarzyszyło nam trzech Szerpów oraz Eric Jones, znany angielski wspinacz. Chociaż wspinaliśmy się bez sztucznego tlenu, czuliśmy się dobrze.

W nocy zerwała się burza. Prawie nie spaliśmy, a brak tlenu stał się odczuwalny. Stopy mi zmarzły i nie mogłem ich rozgrzać. Około trzeciej Reinhold zaczął gotować wodę na herbatę. Tego dnia – obaj to wiedzieliśmy – musiała zapaść decyzja. O 5.30, już z rakami na butach, wypełzliśmy z namiotu. Wciąż jeszcze wiał silny wiatr z południowego zachodu, a ponad granią Nuptse unosiły się ciemne pasma chmur. Moim pierwszym odruchem było zawracać – trudno mi było wyobrazić sobie, by w takich warunkach podejść choćby kilkaset metrów. Przez moje wahanie Reinhold uzyskał niewielką przewagę. Zawołałem Erica Jonesa, poprosiłem, by sfilmował nasz wymarsz, i podążyłem za Reinholdem.

---

<sup>1</sup> Sirdar – Szerpa kierujący pracą pozostałych tragarzy podczas wyprawy wspinaczkowej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Moje nogi były ciężkie jak z ołowiu i po każdym 20–30 metrach musiałem robić przerwę na odpoczynek. Gdyby mi się pogorszyło, nie dotarłbym nawet do Wierzchołka Południowego. Może zbyt śmiałym pomysłem było zaczynać z Przełęczy Południowej i mieć do pokonania 950 metrów różnicy wysokości, w dodatku bez pomocy tlenu? Wątpliwości z poprzednich dni całkowicie jednak zniknęły. Nie myślałem już o domu, żonie i dziecku, tylko o czekającej nas trudnej wspinaczce. Skupiłem się bez reszty na podchodzeniu, uważnie stawiając każdy krok; starałem się dobrze rozłożyć siły i możliwie długo je oszczędzać.

O wzniosłych refleksjach czy uczuciach nie było mowy. Moje pole widzenia było wąskie, ograniczało się do rzeczy najbardziej niezbędnych. Widziałem tylko swoje stopy, kolejne kroki i chwyt, poruszałem się niczym maszyna. Zupełnie się wyłączyłem i myślałem już tylko o następnych pięciu metrach przed sobą. Nie pamiętałem o Evereście i naszym celu. Liczyło się tylko to, by zostawić za sobą tych kolejnych pięć metrów – nic poza tym. Jeśli rozmyślałem o czymkolwiek innym, to tylko o tym, jak w najlepszy sposób wrócić na dół.

Powietrze stawało się coraz rzadsze. Prawie zaczynałem się dusić. Pamiętam jeszcze, że jedyne słowo, jakie dzwoniło mi w głowie w takt stawianych kroków, brzmiało: „Naprzód, naprzód, naprzód...”. Niczym tybetańska mantra. Mechanicznie stawiałem jedną stopę za drugą. Od czasu do czasu przystawałem, wbijałem czekan w śnieg i na kilka chwil zginałem się w pół, łapiąc powietrze jak ryba wyciągnięta z wody i próbując odpocząć. Czułem wtedy wyraźnie, jak do moich mięśni przyplływają nowe siły, które wystarczały na dziesięć lub dwadzieścia dalszych kroków.

Tymczasem wyprzedziłem Reinholda i jako prowadzący trzymałem się skalistego terenu, by uniknąć brodenia w przepastnym śniegu. Wspinaliśmy się odcinkami I i II stopnia trudności, całkowicie się na tej wspinaczce koncentrując, i czuliśmy, jak nasze organizmy dostosowują się do zmniejszonej ilości tlenu. Co chwilę starałem się poruszać palcami u nóg, w których od wymarszu nie miałem czucia.

Obracałem ramionami, by wymusić dopływ krwi aż do czubków palców rąk. Reinhold filmował kamerą Super 8, czasem ja zrobiłem parę zdjęć. O 9.30 dotarliśmy do obozu V.

Reinhold przygotowywał herbatę. Zanim skończył, minęło niemal pół godziny. Mieliśmy świadomość, że po przerwie natychmiast należało iść dalej; przede wszystkim dlatego, że pogoda zaczęła się pogarszać. Siłą woli pokonałszy chęć powrotu albo przynajmniej uciecia sobie drzemki. Nie wątpiliśmy, że chcemy iść dalej w górę, nawet jeśli mielibyśmy dotrzeć tylko do mierzącego 8750 metrów Wierzchołek Południowego, którego osiągnięcie bez tlenu również byłoby wielkim sukcesem i stanowiłoby dowód, że pewnego dnia może się udać podobne wejście na główny wierzchołek.

Brnąłem do przodu granią południowo-wschodnią, pozostając po jej wschodniej stronie. Reinhold był dziesięć metrów za mną. Na krótko przed dotarciem do spiętrzenia przed Wierzchołkiem Południowym zapadłem się w głębokim puchu. Przebijając rękami niczym kret, przedarłem się na czworakach w lewo do skalistej grani, obrywającej się stromo nad dwukilometrowej wysokości ścianą południowo-zachodnią. Wspinaliśmy się nią przez około 150 metrów. To była najwyższa, najbardziej wyeksponowana wspinaczka, jaką kiedykolwiek wykonałem, w dodatku bez liny. Szczęściem obyło się bez wypadku...

Niedługo po 12.00 osiągnąłem Wierzchołek Południowy. Ledwie widziałem Reinholda, który znajdował się 20 metrów pode mną – zniknął wśród chorągwi śnieżnych wzbijanych z grani przez południowo-zachodni wiatr. Poniżej nas kipiało morze chmur, z którego wychylały się Makalu, Cho Oyu i Lhotse. Główny wierzchołek wydawał się bliski jak na wyciągnięcie ręki, ale wiedzieliśmy, że na dojście do niego często potrzebowano godzin. Wciąż mogliśmy dojrzeć ślady stóp ekipy Nairza. Grań była mocno poznaczona nawisami – związaliśmy się zatem liną. Z największą ostrożnością wspinaliśmy się dalej, prowadząc na zmianę. Reinhold filmował, kiedy tylko pozwalały na to względy bezpieczeństwa. Jego pokryta lodową skorupą

twarz wyglądała jak grymas. Na Uskoku Hillary'ego, gdzie zwiększa się nachylenie grani, skorzystaliśmy ze stopni wykutych przez naszych poprzedników; niektóre z nich jednak popękały, a podłoże było niestabilne.

Ostatnie metry do szczytu przeszliśmy – albo raczej przepętliliśmy – wspólnie. Mimo euforii towarzyszącej zbliżaniu się do celu byłem fizycznie wykończony. Nie szedłem już z własnej woli, tylko mechanicznie, jak robot. Niedługo po 13.00 staliśmy w najwyższym punkcie Ziemi. Ściskaliśmy się i cieszyliśmy, wreszcie uwolniwszy się od nieludzkiego przymusu, by iść przed siebie. Niejasno uświadamiałem sobie, że zostaliśmy pierwszymi ludźmi, którzy bez odrobiny dodatkowego tlenu dotarli na najwyższy szczyt globu. Mimo to nie czułem triumfu, miałem raczej poczucie pustki. Cel, na którym tak mi zależało, został osiągnięty. Chciałem na dół – po prostu na dół.

Uwolniłem się z liny, odciąłem z niej metrowy kawałek i w celu zostawienia dowodu naszego wejścia zamocowałem go na aluminiowym stelażu, który w 1975 roku postawili Chińczycy jako przyrząd pomiarowy. Robiłem zdjęcia, a Reinhold filmował i majstrował przy magnetofonie szpulowym. Chciał zostać jeszcze przez chwilę, ale mnie ciągnęło już na dół do obozu IV. Zacząłem ostrożnie schodzić.

Wysokie na pięć metrów podejście na Wierzchołek Południowy przebyłem na czworakach. Tak szybko, jak to możliwe, chciałem znaleźć się na Przełęczy Południowej; narysowałem dla Reinholda na śniegu strzałkę wskazującą kierunek zejścia i zacząłem powoli, używając czekana jako hamulca, zsuwać się przez ścianę wschodnią do obozu V. Taki sposób schodzenia wymaga wieloletniego treningu, wielkiej zręczności i nie każdy może sobie z nim poradzić. Poniżej obozu V skorzystałem z kularu; musiałem kilka razy przerywać zsuwanie, by opuścić się przez niewielkie skalne stopnie, i bardzo szybko dotarłem na wysokość 8150 metrów. Około 200 metrów powyżej

Przełęczy Południowej trafiłem jednak na deskę śnieżną<sup>2</sup>. Zacząłem zsuwać się w sposób niekontrolowany, zgubiłem czekan i raki, w końcu jednak wyszedłem z tego obronną ręką – tylko ze skręconą kostką. Eric Jones, który obserwował większą część mojego zejścia, nie wierzył własnym oczom. Dotarcie ze szczytu do Przełęczy Południowej zajęło mi dokładnie godzinę.

Pół godziny później, krótko po 15.00, przyszedł Reinhold. Przez to, że do filmowania wielokrotnie zdejmował okulary ochronne, nabawił się strasznego zapalenia spojówek. Kolejną noc spędziliśmy w obozie IV. Reinholda dręczył nieznośny ból, który przerażał nas, tym bardziej że spodziewaliśmy się rzeczy gorszej niż ślepotą śnieżną: krwotoków w dniu oka, które mogą oznaczać postępujący obrzęk mózgu. Dziewiątego maja zeszliliśmy razem przez ścianę Lhotse; Reinhold, który widział tylko na parę metrów, trzymał się ściśle za mną. Tego samego dnia, późnym popołudniem, znaleźliśmy się w bazie wysuniętej, gdzie po serdecznym powitaniu mogliśmy odpocząć. Nasz pomysł naprawdę udało się zrealizować.

---

<sup>2</sup> Deska śnieżna – płat zbitego, sprasowanego przez wiatr śniegu, oderwany od sąsiednich mas śnieżnych i zsuwający się po spodniej warstwie śnieżnej. Może samodzielnie stanowić lawinę lub ją spowodować.

„NA EVEREŚCIE BAŁEM SIĘ BARDZIEJ NIŻ PODCZAS  
WSZYSTKICH PÓŹNIEJSZYCH WYPRAW”

*Sam mówiłeś, Peter, że na Evereście byliście jeszcze urwisami. Próba zdobycia go bez tlenu była bezczelnym, sztubackim pomysłem?*

No cóż, mieliśmy więcej bezczelnych pomysłów. Bezczelny pomysł miałem, kiedy w 1967 roku po raz pierwszy byłem na Mont Blanc i od razu wspiąłem się na szczyt najtrudniejszą drogą, przez Filar Fréney. Obaj z Reinholdem mieliśmy bezczelny pomysł, kiedy w 1974 roku

chcieliśmy w jeden dzień zrobić północną ścianę Eigeru, a w efekcie dokonaliśmy tego w niecałe dziesięć godzin. Byliśmy bezczelni, kiedy wspinaliśmy się w zimie drogą Bonattiego na Matterhorn. Zawsze byliśmy bezczelni – i Bogu dzięki, bo ta bezczelność nie wynikała z głupoty, ale miała źródło w naszej wytrzymałości. Wreszcie nasza bezczelność pchnęła nas na Everest. Ale mówiąc o urwisach, miałem na myśli co innego. W gruncie rzeczy jednak mogę mówić tylko za siebie. Dla mnie Everest był pierwszą dużą wyprawą. Oczywiście, w 1975 roku był Hidden Peak z Reinholdem,



*W 1974 roku Peterowi Habelerowi i Reinholdowi Messnerowi udało się wzbudające wielkie zainteresowanie pierwsze przejście północnej ściany Eigeru w ciągu jednego dnia. Na zdjęciu Reinhold Messner na „Popękanych Filarze”.*



w 1977 roku nasza próba na Dhaulagiri, ale mimo to byłem poniekąd początkujący, nie miałem wystarczającej wprawy we wspinaczce w wysokich górach. Pod względem fizycznym dużo brakowało mi do tak dobrej formy jak na Hidden Peak czy późniejszych ośmiotysięcznikach. A psychicznie – młodo się ożeniłem, byłem silnie związany z Reginą, nasz syn, Christian, skończył właśnie 14 miesięcy. Nie byłem całkowicie skoncentrowany na zdobywaniu szczytu. Nie stuprocentowo. Byliśmy urwisami, bo popełniliśmy wiele błędów i nie umieliśmy tego zrobić lepiej.

*Jakie to były błędy?*

Na przykład braliśmy w obozie bazowym tabletki nasenne. Co wieczór valium, byle tylko zasnąć – straszne. Później poszliśmy raz z Reinholdem na rozeznanie przez lodospad Khumbu do Kotła Zachodniego, gdzie miała powstać baza wysunięta. Poprzedniego dnia, w obozie I, przez cały wieczór śpiewałem, byliśmy w świetnym nastroju. Ale pogoda się pogorszyła, zerwała się burza. To była straszliwa noc – musieliśmy przymocować namiot śrubami lodowymi i przez cały czas przytrzymywaliśmy jego maszty. Gdyby wiatr go rozerwał, prawdopodobnie byśmy umarli. Po tym przeżyciu trochę siadła mi psychika i Reinhold to zauważył. Ale mimo to jakoś poszło.



*Po swym sensacyjnym, jedynie dziesięciogodzinnym przejściu budzącej postrach „Ściany Śmierci” bohaterowie odebrali gratulacje od Clinty Eastwooda (po lewej) i Heidi Brühl na przełęczy Kleine Scheidegg.*

*Właściwie mieliście więcej szczęścia niż rozumu – można tak powiedzieć?*

Na pewno nie. Na Evereście miałem raczej za dużo rozumu, nie mogłem uwolnić się od różnych wątpliwości. Stąd brało się moje pełne wahania zachowanie, które ma się rozumieć przeszkadzało Reinholdowi. Kiedy indziej gnałem jak rakieta, a na Evereście zachowywałem się niepewnie. Bałem się wtedy bardziej niż podczas wszystkich późniejszych wypraw, dużo bardziej niż na Hidden Peak. Wciąż pamiętam ten przeraźliwy hałas, który powstaje, gdy wiatr rozbija się o górne partie ściany południowej i wylatuje przez Kocioł Zachodni. Niżej brzmi to, jakby przejeżdżał tamtędy pociąg. Kiedy siedziałem w obozie bazowym, ten hałas całkowicie wyprowadzał mnie z równowagi. Bardzo jestem wdzięczny Reinholdowi za to, że nigdy nie stracił do mnie cierpliwości. Podbudował mnie do tego stopnia, że powiedziałem sobie: no, teraz się uda, teraz doprowadzimy to do końca.

*Już w porze obiadu osiągneli osławiony „Trawers Bogów” (północna ściana Eigeru).*

